

Blaski i cienie globalizacji¹

Globalizacja to jedno z tych słów-wytrychów, nieustannie używanych i często nadużywanych, najczęściej bez próby intelektualnego wysiłku, aby zdefiniować to pojęcie. Kiedy mnie pytają, czy jestem za globalizacją czy przeciw, to zawsze staram się dowiedzieć, co pytający ma na myśli. Odpowiedź na to pytanie utrudnia fakt, że nie ma jednej definicji globalizacji. Różni autorzy różnie to pojęcie określają. Inaczej globalizację zdefiniuje historyk, inaczej antropolog, inaczej kulturoznawca, jeszcze inaczej socjolog, inaczej politolog czy ekonomista. Ja postrzegam ten proces przede wszystkim w jego nurcie ekonomicznym, który uważam za podstawowy, choć świadom jestem także implikacji cywilizacyjnych, antropologicznych, politycznych.

Spór o definicję

Dla jednych globalizacja oznacza „zglajszlachtowanie” kultury albo „macdonaldyzację”; oto wszyscy ubieramy się prawie tak samo, jemy prawie to samo – hamburgery albo „chińszczyznę – słuchamy podobnej muzyki, czytamy te same książki, oglądamy te same filmy, czasami lepsze, czasami gorsze. Można też patrzeć na globalizację jako na skomplikowany i rozbudowany **mechanizm współzależności**. Ma on nie tylko swój wymiar ekonomiczny, ale także polityczny, który poprzez związki występujące we współczesnym świecie jedne państwa i ich elity forsuje do przodu, podczas gdy inne są spychane na bok i marginalizowane.

Z ekonomicznego punktu widzenia proponuję, aby **globalizację zdefiniować jako historyczny proces wpięty w liberalizacji, a w ślad za tym postępującej integracji funkcjonujących dotychczas w pewnym odosobnieniu rynków kapitału, towarów i, z pewnym ograniczeniem i opóźnieniem, także siły roboczej w jeden rynek światowy.**² Są tu zatem trzy kluczowe słowa:

- jest to proces **historyczny**, a więc trwający długo w czasie;
- przede wszystkim przejawia się on w **liberalizacji**;
- i w ślad za tym idącej **integracji**.

W tej samej przestrzeni powstaje więc pewna nowa jakość, choć i przestrzeń aktywności gospodarczej niesamowicie poszerzyła się ze względu na współczesną fazę rewolucji naukowo-technicznej. Nie w skutek tego, co niektórym filozofom się śniło – przejścia do przestrzeni pozaziemskiej, nie w wyniku odkrywania Ameryk, bo one zostały już odkryte – ale w wyniku stworzenia przestrzeni wirtualnej. Rewolucja komputerowa, wdrażanie i upowszechnianie Internetu powoduje, że powstała przestrzeń wirtualna, do którą przenosi się znakomita część aktywności ekonomicznej, przede wszystkim związanej z przepływem informacji, ale także kapitału z operacjami finansowymi i bankowością. Również z edukacją, rozrywką, która jest przecież wielomiliardowym, jak to się mówi teraz z angielska po polsku, biznesem, i wieloma innymi obszarami. Przez Internet nie można przesłać dóbr materialnych, ale można sposoby, wiedzę o tym jak się je wytwarza, jak się je sprzedaje, jak się je wprowadza na rynek. Wszystko, co się dzieje w przestrzeni wirtualnej, dzieje się globalnie.

¹ Autoryzowany stenogram Artykuł opracowany został na podstawie specjalnego wykładu wygłoszonego na Kolegium Myśli Otwartej Ogólnopolskiej Komisji Historycznej ZSP w dniu 17 marca 2005 roku.

² Grzegorz W. Kołodko, *Globalizacja a perspektywy rozwoju krajów posocjalistycznych*, Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierowania, Toruń 2001.

Przy takiej definicji globalizacji można postawić teraz pytanie, czy jest to proces korzystny czy szkodliwy – i dla kogo? – lubić go czy nie, bać się czy cieszyć, popierać czy zwalczać? Na te pytania **jednoznacznej odpowiedzi nie ma i nie będzie**. Zależy to od tego, jak kto w tej globalnej grze ekonomicznej jest ustawiony i jak potrafi radzić sobie z ryzykiem, które ta gra nieuchronnie niesie, z kosztami, które za sobą pociąga, ale zarazem jak potrafi maksymalizować korzyści, które stąd płyną i dyskontować nowe, dodatkowe szanse.

Nie można mieć dostępu do potencjalnych korzyści z tej gry nie otwierając się na potencjalne związane z nią koszty. Jeśli się chce mieć dostęp do innych części gospodarki światowej, do przepływającego kapitału, który gdzie indziej jest oszczędzany, a chcielibyśmy, aby u nas był inwestowany, i w ślad za tym do technologii, które mogą przy tej okazji być transferowane, to trzeba się także otworzyć na międzynarodową konkurencyjność, na ryzyko konfrontacji z firmami z innych zakątków świata, na penetrację kapitału spekulacyjnego. Kapitału, którego jedynym żarłocznym motywem jest maksymalizacja zysku i wykorzystanie pewnych słabości strukturalnych, instytucjonalnych czy politycznych występujących w miejscu (kraju), w którym jest inwestowany.

Gdybyśmy zabawili się w znajdowanie polskiego odpowiednika słowa „globalizacja”, to nasuwałby się tutaj termin „uświatowienie”. Dostałem wczoraj list od Gwinejczyka, który próbował pisać po angielsku, ale ze względu na to, że jest pod wpływem języka, którym tam się mówi w spadku po czasach kolonialnych, francuskiego, napisał nie „globalization” tylko „mondialisation”. *Notabene*, czasami nawet niektórym profesorom, już nie mówiąc o dziennikarzach, zdarza się tautologia. **Świat nie może się globalizować, bo ze swojej istoty jest globalny**. Nie należy zatem mówić czy pisać o „globalizacji gospodarki światowej”, lecz po prostu o „globalizacji gospodarki”. Nie może przecież globalizować się coś, co ze swej istoty – i definicji – już jest globalne; tak właśnie jak nasz świat.

Ze względu na złożoność, wielowątkowość i niejednorodność tegoż procesu do dylematów globalizacji trzeba podchodzić metodologicznie poprawnie i racjonalnie, czyli *per saldo*, oceniając jej wypadkową, swoisty wektor całokształtu tego dynamicznego i skomplikowanego procesu. Trzeba wiedzieć, co ma z globalizacją związek, a co nie, gdyż mnóstwo zjawisk dzieje się i procesów zachodzi wokół nas, ale nie dlatego, że jest globalizacja, a tylko z tej przyczyny, iż w jej epoce żyjemy i działamy. Często zatem nie ma tutaj związków przyczynowo-skutkowych. Jeśli ktoś traci pracę, to mógłby powiedzieć (i niekiedy mówi): wszystko przez globalizację. Ale czy tak jest? Aby to wykazać, należałoby wpierw udowodnić, że występuje określony związek przyczynowo-skutkowy; na przykład w ramach swobodnego przepływu siły roboczej jakiś fachowiec przywędrował z innej części gospodarki światowej i wyparł lokalnego z jego dotychczasowego miejsca pracy.

Argumenty tego typu często było słycać na przykład we Francji w trakcie kampanii poprzedzającej referendum w sprawie konstytucji Unii Europejskiej, gdzie ponoć polski hydraulik-złota rączka pozbawił pracy swego francuskiego kolegę. Powtarzane są one także w Polsce, gdzie murarze z Ukrainy wypierają z rynku siły roboczej polskich budowlanych. Wtedy można powiedzieć, że jest to skutek globalizacji, ruchy te bowiem wynikają z jednego z jej mechanizmów ujętego w naszej definicji, która podkreśla coraz bardziej swobodny przepływ siły roboczej w skali światowej. Podobnie dzieje się, kiedy to nie do nas przyjeżdża konkurencyjna siła robocza, ale od nas praca „ucieka”, przemieszczając się z naszej części świata do innego regionu globalnej gospodarki.

Dzieje się tak często ze względu na zróżnicowanie kosztów, zwłaszcza wysokości płac pomiędzy krajami. I w tym sensie rację mają na przykład Amerykanie czy Brytyjczycy wskazujący na przejmowanie niektórych procesów produkcyjnych lub też świadczenie określonych rodzajów usług przez pracowników w Indiach, Chinach, Brazylii, Europie Środkowo-Wschodniej, także w Polsce. Co ciekawe, dotyczy to nie tylko starych, tradycyjnych przemysłów, jak chociażby tekstylnego, ale także najnowocześniejszych usług

związanych z funkcjonowaniem tzw. nowej gospodarki, gospodarki technologii informacyjnych i telekomunikacyjnych.

Ale jeśli ktoś zostanie wyrzucony z pracy dlatego, że nie chce i nie potrafi wywiązywać się ze swoich obowiązków, nie może podnieść własnych kwalifikacji lub po prostu jest nierób, to wtedy nie ma to nic wspólnego z globalizacją. Nie ma z nią też wiele wspólnego, jeśli ktoś niestety traci pracę wskutek działania nieubłaganych mechanizmów kapitalistycznej gospodarki rynkowej. A to dlatego, że przecież jej strukturalną, a więc nieodłączną i niezbywalną cechą jest występowanie rezerwowej armii pracy, czyli bezrobocie.

Tak więc nie powinniśmy zrzucać odpowiedzialności za wszystkie piętrzące się trudności na nowy system, który wyłania się w wyniku procesów globalizacyjnych. W istocie bowiem jest tak, że jednym – jednostkom, grupom społecznym czy zawodowym, branżom czy sektorom, krajom czy regionom – globalizacja stwarza więcej szans, a innym więcej zagrożeń. Z pewnością w obecnej fazie globalnej konkurencji w dużo lepszej pozycji znajdują się bogate kraje, które już osiągnęły wysoki poziom rozwoju, takie jak duże gospodarki Stanów Zjednoczonych lub Francji, czy też małe, wysoko rozwinięte otwarte gospodarki jak Finlandia lub Norwegia, niż takie kraje jak Czad, Mołdawia, Paragwaj albo Mongolia. Decyduje o tym wiele czynników, nie tylko poziom rozwoju będący funkcją historycznych procesów z przeszłości, ale także położenie geograficzne. Może ono pomagać w korzystaniu z dobrodziejstw globalizacji, ale może też w czerpaniu z nich bardzo przeszkadzać, jak w wypadku tej drugiej przykładowej grupy krajów.

Globalizacja a sprawa polska

W jakiej sytuacji przeto znajduje się Polska? Otóż dosyć korzystnej, a to przede wszystkim właśnie ze względu na naszą pozycję geopolityczną. Przez tysiąc lat mieliśmy raczej fatalne położenie, bo jak nie najeżdżano nas ze wschodu to z zachodu, a jak dali nam spokój jedni i drudzy, to wtedy Szwedzi z północy zalewali nas jakimś potopem. Teraz mamy świetną pozycję geopolityczną, którą w tej globalnej grze możemy i powinniśmy mądrze wykorzystać. Jest to pozycja centralna w Europie, pomiędzy poszerzającą się Unią Europejską, której już jesteśmy członkiem, a Wspólnotą Niepodległych Państw przechodzącą także do mechanizmów rynkowych i poradzieckiej demokracji, tak jak ona w tej chwili wygląda. To nam stwarza pewne szanse, które nie są dane na przykład poradzieckim krajom środkowej Azji, takim jak Kirgizja lub Turkmenistan. Z samego zatem faktu korzystnego położenia geograficznego mamy większe szanse w konkurencji globalnej, skoro jesteśmy właśnie tu, a nie gdzieś indziej, w odległych czy peryferyjnych wręcz miejscach globu.

Jeśli zaś szansa ta nie jest, niestety, właściwie wykorzystywana – a widać to wyraźnie patrząc na politykę zagraniczną wobec Wschodu, zwłaszcza w stosunku Rosji – to dowodzi to tylko ułomności tej polityki i braku rozsądku rządzących. Jak dalece i intensywnie nie włączalibyśmy się do procesu globalizacji w ogólności, a integracji w ramach Unii Europejskiej w szczególności, to położenie geograficzne nie przestaje mieć znaczenia. I skoro można rozwijać korzystne stosunki gospodarcze – handlowe, finansowe, inwestycyjne – z bliskimi sąsiadami, to należy to czynić. Nawet jeśli Rosja – z PKB liczoną według parytetu siły nabywczej około 1,4 biliona dolarów, czyli około trzykrotnie tylko większym od polskiego – partycypuje w światowej produkcji w zaledwie około 2,7 procent, to potencjał tego kraju jest ogromny. Dla dalszej ekspansji polskiej gospodarki i przedsiębiorczości w warunkach globalizacji – a więc liberalizacji, otwarcia i integracji – to szansa, z której należy korzystać w jak najszerszym wymiarze. Niestety, błędna polska polityka zagraniczna utrudnia to, tracimy więc czas i potencjalne możliwości penetracji istotnej przecież nie tylko dla nas

części gospodarki światowej. Nie należy mieć żadnych złudzeń, że w tym czasie inni z tego umiejętnie korzystają.

Zatem **globalizację można interpretować także jako grę ekonomiczną, w której pojawiają się dodatkowe szanse i dodatkowe zagrożenia.** Wynikają one z tego, że otwieramy się coraz szerzej na handlowe, finansowe, inwestycyjne, kooperacyjne, polityczne i kulturowe związki z zagranicą, choć wypadają już powiedzieć z innymi częściami coraz bardziej zintegrowanej gospodarki światowej, której staliśmy się częścią. Ograniczamy przy okazji kolejne bariery psychologiczne i polityczne, ale przede wszystkim likwidujemy taryfowe i pozataryfowe bariery w handlu i przepływie kapitału. Kapitału zarówno bezpośredniego, gdzie się inwestuje w moce rzeczowe i nowe zdolności wytwórcze, transferując przy okazji nowe technologie i umiejętności menedżerskie oraz marketingowe, jak i portfelowego, gdzie inwestuje się na krótkoterminowych rynkach pieniężnych i długoterminowych rynkach finansowych oraz kapitałowych. Lokowanie wszakże kapitału zewnętrznego (zagranicznego), a więc oszczędności czynionych w innych częściach światowej gospodarki w nasze papiery rządowe czy też na giełdach kapitałowych i towarowych wpływa – z wszystkimi tego implikacjami – na ich ceny, a pośrednio także na podaż i popyt, a tym samym na ceny dóbr i usług, poziom płac czy wreszcie na kurs walutowy. Wszystko to ma **daleko idące bezpośrednio i pośrednie – niekiedy tak skomplikowane, że przez wielu uczestników życia gospodarczego i aktorów publicznych dyskursów nawet nie uświadamiane – konsekwencje dla funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa.**

Co zaś tyczy się kursu walutowego – tego swoistego styku naszej gospodarki narodowej ze światem – to cały czas aktualne jest pytanie, co jest skutkiem czego? Otóż silny złoty – w skądinąd relatywnie słabej wciąż gospodarce, która wytwarza zaledwie 0,84 procent światowej produkcji – jest następstwem dopływu zagranicznego kapitału, który zwiększając nań popyt podnosi jego cenę, a więc kurs. Ekonomiści powiadają, że złoty się aprecjonuje, czyli rośnie jego kurs. Dopływający kapitał w dużej mierze ma charakter spekulacyjny. Jest on zachęcany przez NBP do docierania do Polski poprzez stopy procentowe zawyżane w stosunku do poziomu ekonomicznie uzasadnionego, a zarazem wyższe, a więc bardziej korzystne dla krótkookresowego kapitału spekulacyjnego, aniżeli w innych częściach świata. Jest to zabójcze dla sporej części polskiej gospodarki, przede wszystkim dla przedsiębiorstw nastawionych na ekspansję eksportową. A to dlatego, że **przy przewartościowanym kursie złotego eksport staje się nieopłacalny.** Zarazem tani staje się import i jego zalew wymiata z krajowego rynku wielu rodzimych producentów i dystrybutorów – od stoczni poprzez fabryki przetworów rolnych po usługi krawców i szewców. W konsekwencji przedsiębiorstwa mają coraz mniejsze dochody z produkcji sprzedanej w innych częściach gospodarki światowej, spadają im zyski, na czym z kolei traci państwo i beneficjenci jego budżetu, bo ma on mniejsze dochody podatkowe. Tracą również kooperanci, gdyż spada popyt na dostarczane przez nich dobra i świadczone usługi. Następuje przeto cała reakcja łańcuchowa pogarszająca ogólną koniunkturę gospodarczą, co tak wyraźnie widzieliśmy, także z innych powodów, w latach 1998-2001, po odejściu od linii „Strategii dla Polski”, oraz ponownie od połowy 2004 roku.³

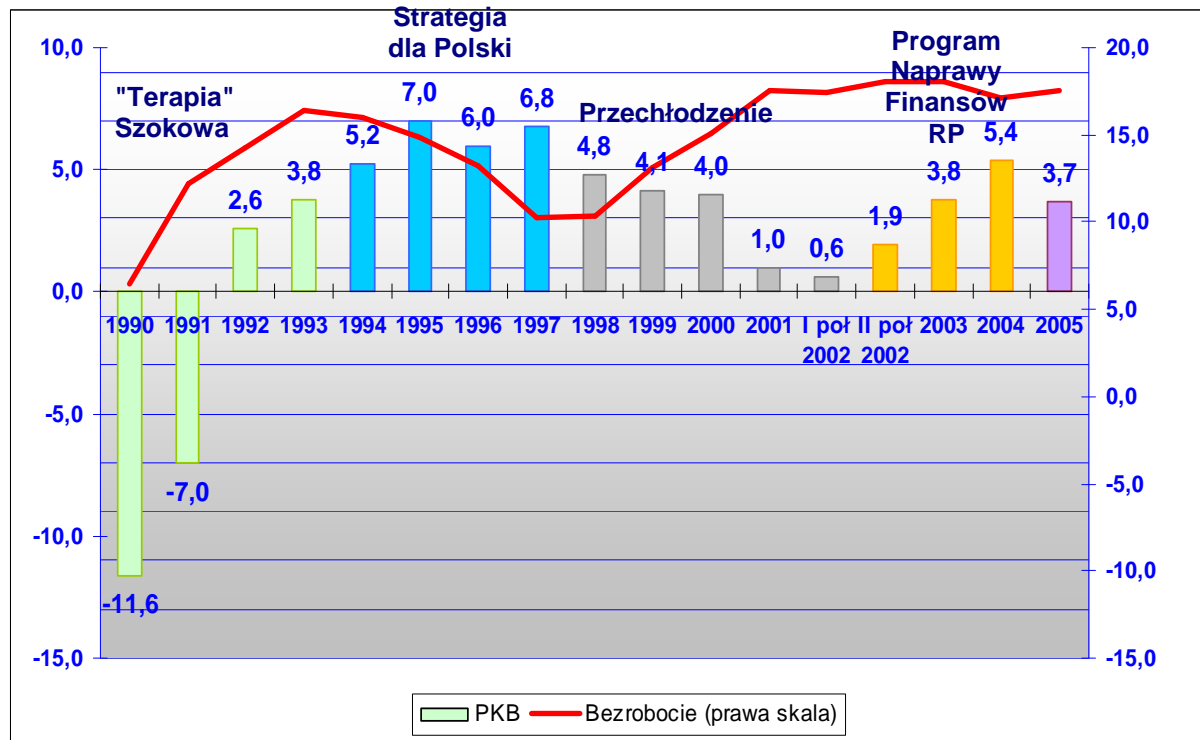
Od szoku do terapii

Jakże dobitnie ilustrują to dane pokazujące przemienność kilkuletnich okresów wyhamowania tempa wzrostu gospodarczego – lub wręcz recesji, jak miało to miejsce na

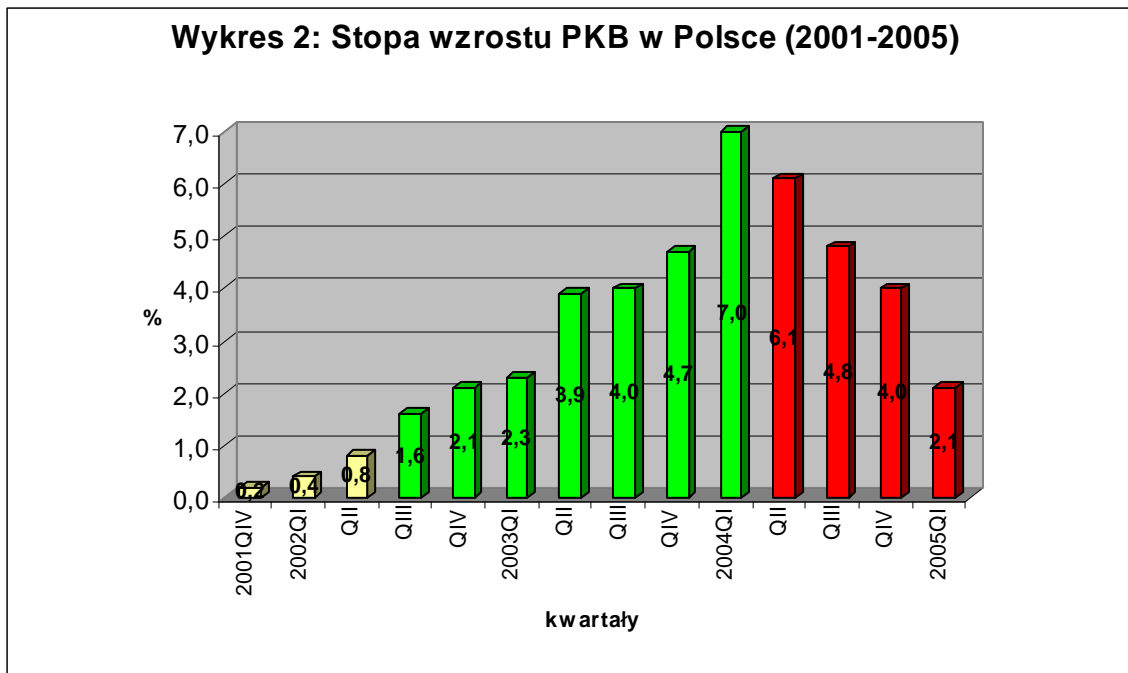
³ Szerzej na temat uwarunkowań i implikacji długofalowego rozwoju gospodarczego zob. Grzegorz W. Kołodko (redakcja naukowa), *Strategia szybkiego wzrostu gospodarczego w Polsce*, Wydawnictwa Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Kozłowskiego, Warszawa 2004.

początku lat 90. wskutek „szoku bez terapii” (Wykres 1) – albo też, w odniesieniu do ostatnich kilku lat, drastyczne wyhamowanie tempa wzrostu do prawie stagnacji na przełomie lat 2001 i 2002, potem przyspieszenie związane z „Programem Naprawy Finansów Rzeczypospolitej” i, niestety, znowu utracenie wysokiej dynamiki od połowy 2004 roku (Wykres 2).

Wykres 1: Od szoku do terapii
Stopa bezrobocia i stopa wzrostu PKB w Polsce w latach 1990-2005



Źródło: Główny Urząd Statystyczny. Dane dla 2005 roku – szacunek autora.



Źródło: Główny Urząd Statystyczny. Dane dla 2005 roku – szacunek autora.

Co szczególnie ważne – i, niestety, nader społecznie dotkliwie – to fakt, że tracą ludzie, gdyż są w mniejszym stopniu zatrudniani, więc bezrobocie utrzymuje się na wysokim poziomie. Pomimo zasadniczego przyspieszenia tempa wzrostu gospodarczego wskutek tzw. pakietu antykryzysowego oddłużającego ponad 60 tysięcy małych i średnich przedsiębiorstw (prawie wszystkie prywatne) w latach 2002-2003 i zapoczątkowania realizacji *Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej*⁴, wskutek czego tempo wzrostu skoczyło ze śladowych 0,2 procent w czwartym kwartale 2001 roku do 7,0 procent w pierwszym kwartale 2004 roku, później znowu uległo ono głębokiej redukcji. Sprowadzenie dynamiki PKB do zaledwie 2,1 procent w pierwszym kwartale 2005 roku jest – niezależnie od małej skuteczności polityki rządu – spowodowane przewartościowanym kursem złotego.

Jak to ma się do globalizacji? Otóż tak, że my – jako kraj – mamy wpływ na kurs złotego, naszej narodowej waluty, wobec innych walut. Wpływu tego może nie mieć rząd, ale ma go za to bank centralny, co wynika z jego instytucjonalnej, konstytucyjnie gwarantowanej od rządu niezależności. Wpływ władz monetarnych na kształtowanie się kursu zależy od obranego systemu walutowego i od prowadzonej polityki. Zatem **jeśli kurs walutowy kształtuje się niekorzystnie z punktu widzenia polskich przedsiębiorstw i całej gospodarki, to nie należy winać za to globalizacji, tylko błędy własnej polityki, zwłaszcza polityki pieniężnej banku centralnego**. Inne kraje przecież potrafią – skądinąd na różne sposoby – radzić sobie z tym problemem, jak na przykład duże gospodarki jak Chiny i Indie, czy też małe jak Chile i Malezja.

Jako kraj natomiast nie mamy żadnego wpływu na kształtowanie się kursu krzyżowego dolara do euro, choć jego wysokość, ściśle związana z funkcjonowaniem globalnej gospodarki, ma istotne znaczenie dla polskiej gospodarki. Szczęśliwym trafem – tak jak rolnikowi z dobrą pogodą – udaje nam się ostatnio, a to ze względu na aprecjację euro wobec dolara, co jest bardzo korzystne dla Polski ze względu na geograficzną (i walutową) strukturę naszego eksportu; jego rosnąca część fakturowana i rozliczana jest właśnie w euro. Innymi słowy to, że coraz większe znaczenie w układzie otwartym i integrującym się z globalną gospodarką ma kurs walutowy, jest nieuniknioną konsekwencją globalizacji, to zaś czy kurs złotego do walut obcych kształtuje się mniej czy bardziej korzystnie, jest już skutkiem lepszej lub gorszej polityki finansowej: budżetowej (fiskalnej) rządu i zwłaszcza pieniężnej (monetarnej) banku centralnego.

Ktoś może przeczytać sobie w serwisie informacyjnym, jaki jest kurs złotego i wyciągnąć z tego właściwe dla siebie wnioski. Dla siebie, gdyż **ten sam kurs co innego oznacza dla różnych podmiotów gospodarczych**, w zależności czy dotyczy to eksportera, czy importera, producenta czy konsumenta, wyjeżdżającego za granicę czy zeń przyjeżdżającego. Można określić zatem, jaką to jednym dodatkową stwarza szansę i daje zyski, podczas gdy innym przynosi dodatkowe ryzyko i zwiększa koszty. Zmienne kursy walutowe, swoboda przepływu ludzi, otwarte granice – to wszystko ma takie konsekwencje, że jak ktoś w zeszłym tygodniu kupił sobie wycieczkę zagraniczną, to zapłacił odpowiednio taniej niż dzisiaj, bo dzisiaj – w połowie marca 2005 roku – dolar kosztuje 3,07 złotego, a euro 4,12. Gdy ktoś czyta te słowa, kursy te już są inne. Tak więc człowiek wyjeżdżający za granicę maksymalizuje nadarzającą się szansę, jeśli płaci zanim kurs się osłabi, natomiast jeśli ktoś jest eksporterem, to w takiej sytuacji został wystawiony na dodatkowe zagrożenie, z którym sobie może radzić albo i nie. Wielu sobie nie radzi, wobec tego zwijają interes czy wręcz bankrutują, co powoduje więcej niedostatku, biedy, więcej bezrobocia. I w takim kontekście powraca pytanie, czy za to ponosi odpowiedzialność globalizacja?

Tak, ale tylko w pewnej mierze, bo – jak już wiemy – my nie mamy wpływu na kurs krzyżowy dolara do euro, ale mamy – albo raczej moglibyśmy mieć – wpływ na kurs złotego

⁴ Zob. szerzej Grzegorz W. Kołodko, *O Naprawie Naszych Finansów*, Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierowania, Toruń 2004.

do zagranicznego pieniądza. No ale tutaj wyłania się pytanie, kto to jesteśmy my. „My – Polska” mamy, ale „my – rząd”, nie, „my – producenci” też nie mamy wpływu. Na kurs można oddziaływać w krótkim okresie różnymi sposobami i praktycznie wszystkie instrumenty są w ręku banku centralnego, który jest niezależny od rządu, co nie oznacza, że jest niezależny w ogóle, bo on jest zależny od wpływów pewnej grupy interesów, od pewnej klasy poglądów, jest zależny od nacisku innych podmiotów w gospodarce światowej, niekoniecznie krajowych, które dbają o swoje interesy i realizują własne cele. Warto zawsze dobrze przyjrzeć się skomplikowanym mechanizmom redystrybucji dochodów – tym razem już na skalę globalną i zastanowić się, kto zyskuje, a kto traci na tym, że stopy procentowe oraz powiązane z nimi kursy walutowe kształtują się tak, jak się kształtują.

Apologeci i krytykanci

Jest wielu ideologów globalizacji, bezkrytycznych jej zwolenników i zarazem sporo jej zawziętych przeciwników, niekiedy wręcz krytykantów. Ostatnio pokazała się seria książek nie tylko uprawiających wobec globalizacji apologetykę⁵, ale także ją potępiających⁶, krytycznych wobec wolnego handlu, niekontrolowanego przepływu kapitału, piętnujących narastanie nierówności we współczesnym świecie i poszerzanie się marginesu wykluczenia społecznego. Debata ta ma to do siebie, że to co jedni chwala, inni piętnują. Jak potrzeba wykwalifikowanych polskich czy słowackich pielęgniarek w bogatych krajach Unii Europejskiej czy programistów komputerowych z Indii albo Chin w USA, to taki przepływ siły roboczej jest dobrze widziany przez kraje bogate. Jak potrzeba niewykwalifikowanych robotników z Haiti czy Gwatemali, aby zbierali truskawki na Florydzie czy w Kalifornii, to sezonowo taki przepływ siły roboczej jest akceptowany. Natomiast jeśli więcej ludzi chciałoby przyjechać dlatego, że jest tam po prostu dostatniej, to szybko odzywa się syndrom znany jako „moralność Kalego”; „my to chcąc wyjeżdżać” do bogatych krajów, ale do nas to „wy lepiej nie przyjeżdżać” z tych biednych. My oczekujemy od Unii Europejskiej, aby nie było żadnych ograniczeń transferu polskiej siły roboczej, natomiast co do tego, kto do nas może przyjeżdżać swobodnie, dajmy na to z Ukrainy czy Kazachstanu, szukając tutaj swojego szczęścia, to nader chętnie takie ograniczenia stosujemy. I takich problemów – szans i zagrożeń zarazem, bo to zależy z której strony, czyli z punktu widzenia czyjego interesu się patrzy – jest mnóstwo w warunkach otwierania się, liberalizacji i integracji, czyli globalizacji.

Skąd biorą się wielcy zwolennicy i zagorzali przeciwnicy globalizacji? Otóż stąd, że na globalizację można spojrzeć jeszcze inaczej, a mianowicie, że globalizacja to nic innego jak wielki triumf światowego kapitalizmu. **Globalizacja to światowy kapitalizm.**

⁵ Zob., *inter alia*, Martin Wolf, *Wy Globalization Works*, Yale University Press, New Haven and London 2004; Jagdish Bhagwati, *In Defense of Globalization*, Oxford University Press, New York 2004; Johan Norberg, *In Defense of Global Capitalism*, CATO Institute, Washington, D.C 2003, Grzegorz W. Kolodko (redakcja naukowa), *Emerging Market Economies. Globalization and Development*, Ashgate, Aldershot, England-Burlington, VT, USA 2005.

⁶ Zob. m. in. Joseph E. Stiglitz, *Globalizacja*, PWN, Warszawa 2004, Grzegorz W. Kolodko (redakcja naukowa), *Globalization and Social Stress*, Nova Science Publishers, New York 2005. W literaturze polskiej ukazało się także wiele ciekawych prac, pokazujących różne aspekty globalizacji. Zob., *inter alia*, Henryk Chołaj, *Ekonomia polityczna globalizacji*, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Społeczno-Ekonomicznej, Warszawa 2003; Stanisław Flejterski i Piotr T. Wahl, *Ekonomia Globalna. Synteza*, Difin, Warszawa 2003; Edmund Wnuk-Lipiński, *Świat Międzyepoki. Globalizacja. Demokracja. Państwo narodowe*, Wydawnictwo Znak – Instytut Nauk Politycznych, Kraków 2004; Ryszard Piaseczki, *Rozwój gospodarczy a globalizacja*, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 2003; Jadwiga Staniszkis, *Władza globalizacji*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2003; Władysław Szamański, *Interesy i sprzeczności globalizacji. Wprowadzenie do ekonomii ery globalizacji*, Difin, Warszawa 2004; Lech W. Zacher, *Spór o globalizację. Eseje o przyszłości świata*, Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN, Warszawa 2003.

Globalizacja jest kapitalizmem. To nie jest socjalizm, to nie jest komunizm, to nie jest gospodarka planowa, to nie jest społeczna gospodarka rynkowa, to dosyć brutalny, liberalny, zachłanny, agresywny kapitalizm, który tym razem ogarnia już cały bez mała świat. Teraz działa on nie w ujęciu narodowym czy transnarodowym, także nie tylko w układzie regionalnym typu UE albo NAFTA⁷, MERCOSUR⁸ albo ASEAN⁹. Działa w układzie globalnym.

Oczywiście, nie jest tak do końca, jeśli bowiem globalizacja jawi się nam jako proces, to z natury rzeczy proces ten ewoluuje i rozwija się, dopełnia się i dojrzewa. Patrząc ze *stricte* ekonomicznego punktu widzenia co by bowiem oznaczało, że mamy niby już jedną, zintegrowaną gospodarkę światową? Otóż musiałoby to implikować, że *de facto* mamy na świecie jeden rynek, czyli jedną krzywą podaży i jedną krzywą popytu z jednym punktem światowej równowagi, w którym krzywe te przecinają się wyznaczając jedną dla całego świata cenę oczyszczającą rynek. Ale przecież tak nie jest. Weźmy na przykład taki oto termos do kawy. W rzeczywistości jest wiele lokalnych i regionalnych rynków na ten produkt, a więc wiele jest także krzywych podaży i popytu oraz cen równowagi rynki te oczyszczających.

W idealnej – skądinąd nieistniejącej – „gospodarce światowej” wyłaniać powinna się jedna cena oczyszczająca rynek; wszystkie termosy kosztować winny w każdym miejscu tyle samo, bo tak kazałby idealny modelowy mechanizm rynkowy. Czy takie zintegrowane w pełni rynki istnieją? Otóż jest ich niewiele, ponieważ w zasadniczej mierze mamy wciąż do czynienia z lokalnymi rynkami, na których lokalni nabywcy zgłaszają swój popyt, co determinuje cenę sprzedawanych lokalnie dóbr i świadczonych usług. W skali ogólnoswiatowej natomiast działają jedynie rynki niektórych ważnych surowców, na przykład rynek ropy naftowej, na którą – upraszczając – jedna jest cena (przy tej samej jakości i abstrahując od kosztów transportu) na całym świecie¹⁰. Tak działa rynek pewnych wyszukanych dóbr, angażujących wysokie techniki wytwórcze, na przykład odrzutowców pasażerskich, jeden jest bowiem rynek na Jumbo Jety albo Airbusy.

Globalizacja implikuje nie to, że wszystko wszędzie kosztuje tyle samo – a także nie to, że wszystko wszędzie można wytworzyć i sprzedać – tylko działanie pewnych mechanizmów produkcji i dystrybucji. Otóż jeśli okazałoby się, przykładowo, że termosy są droższe w Warszawie niż w Szanghaju, to na pewno przez czas jakiś tam będą wytwarzane, a tu dowożone i sprzedawane. Na to pozwala wolny handel i wymienny pieniądz, a także swobodny i szybki przepływ informacji. Na dłuższą metę natomiast – jeśli utrzymują się implikujące taki proceder korzystne relacje kosztów, cen, dochodów i zysków, to poczyną przepływać już nie tylko towar, ale i kapitał. A wraz z nim często ludzie ze swoimi umiejętnościami (i kulturą), a zawsze techniki i technologie. Zamiast wozić towary – termosy, samochody, a nawet samoloty – „przewozi się” zakład produkcyjny, czyli buduje się fabrykę termosów, samochodów, samolotów. I na tej zasadzie wiele BMW, które jeździ po USA, nie jest produkowanych w Bawarii, jak mogłoby to wynikać z nazwy *Bayernische Motoren Werke*, ale w Ameryce, bo zbudowano tam stosowne fabryki. Już prawie wcale Toyoty się do USA nie wozi przez Pacyfik z Japonii, jak to było 25 lat temu, gdyż przewieziono kapitał, technologie, know-how i marketing i teraz montuje się je w USA.

⁷ North American Free Trade Agreement (Północnoamerykańskie Porozumienie Wolnego Handlu) to luźne ugrupowanie integracyjne obejmujące USA, Kanadę i Meksyk.

⁸ Ugrupowanie integracyjne obejmujące Argentynę, Brazylię, Paragwaj i Urugwaj.

⁹ ASEAN to skrót angielskiej nazwy Stowarzyszenia Państw Azji Południowo-Wschodniej, do którego należą: Brunei, Burma, Filipiny, Indonezja, Kambodża, Laos, Malesja, Tajlandia, Wietnam i Singapur.

¹⁰ Oczywiście, to też uproszczenie, gdyż z różnych względów – najczęściej politycznych – ropa naftowa dla niektórych odbiorców może być tańsza niż na tzw. wolnym globalnym (światowym) rynku. I tak niektóre państwa arabskie kupują ropę poniżej „cen światowych” od innych państw arabskich, Wenezuela sprzedaje ropę dużo taniej Kubie niż USA, a Rosja dostarcza ją po niższych cenach Białorusi niż Polsce.

Ludzie, którzy uwikłani są w te procesy i rodzący się w ich wyniku globalny podział pracy – właściciele kapitału, producenci, dystrybutorzy, konsumenci – maksymalizują swoje funkcje celu zwiększając a to stopę zwrotu z zainwestowanego kapitału, a to swoją satysfakcję konsumentów. Tym samym mogą być oni zadowoleni z efektów globalizacji. Jeśli zaś inni przy tej samej okazji tracą kapitały, nie radzą sobie z konkurencją światową, nie potrafią utrzymać się na rynku ze swoimi produktami czy usługami – czyli *de facto* ze swoimi kwalifikacjami – to mają rzeczywiste powody do utyskiwania.

Kto zatem wychwala globalizację, nie wnikając w złożoność tego procesu, który nie jest sam z siebie ani dobry, ani zły, to bowiem zależy od wielu czynników i nie można rozstrzygnąć tej kwestii bez głębszego wejścia w strukturę sprzecznych interesów ekonomicznych? Otóż głównie są to ci ideolodzy i apologety – a na polskim gruncie ekonomicznym i politycznym bynajmniej też ich nie brakuje – którzy uważają, że kapitalizm jest najlepszym systemem, najbardziej sprawnym ekonomicznie ze wszystkich. Jeśli zaś ma jakieś swoje dewiacje i patologie, to nie wynika to jakoby z jego istoty, tylko z niesprawności polityk, zwłaszcza tych z inklinacjami lewicowymi czy, poprawniej może, społecznymi¹¹ albo bierze się to z jakichś li tylko zawirowań w tych politykach czy też z ułomności ludzi, którzy te polityki uprawiają.

Tak jak Churchill ponoć kiedyś zauważył, że demokracja ma swoje wady i jest paskudna, bo nie łatwo przecież w niej rządzić, ale nikt nic lepszego nie wymyślił, tak teraz to samo można powiedzieć o kapitalizmie: to system, który ma bardzo wiele wad, ale nikt lepszego nie wymyślił. Nie przypadkowo takie opinie najczęściej pojawiają się wśród filozofów i ekonomistów, polityków i przedsiębiorców z krajów, które najlepiej na globalnym kapitalizmie wychodzą. A najlepiej na niej wychodzą gospodarki najpotężniejsze, najsilniejsze ekonomicznie i politycznie, a więc te, którym własne zasoby kapitałowe oraz jakość kapitału ludzkiego daje dużą przewagę konkurencyjną w globalnej gospodarce. Dodatkowo jeszcze wzmacnia ją siła instytucji gospodarki rynkowej, w ramach których ten kapitalizm, czasami tak zachłanny, funkcjonuje.

Kraje te bowiem mają taką pozycję, że łatwiej im aniżeli innym gospodarkom wykorzystywać nowe dodatkowe szanse wynikające z otwarcia, liberalizacji, prywatyzacji, dostępu do nowych rynków, nowych zasobów siły roboczej, nowych surowców. Ale i tam przecież nie brakuje poglądów i opinii, książek i opracowań, które w czambuł potępiają tenże światowy kapitalizm albo globalizację. Jakiś czas temu słowo „kapitalizm” w ogóle częściej było używane, a dzisiaj raczej mówi się o „gospodarce rynkowej”, którą przeciwstawia się „komunizmowi”, rzadziej zaś „socjalizmowi”. Metodologicznie natomiast winno przeciwstawiać się kategorię „gospodarki rynkowej” „gospodarce planowej” czy też „gospodarce centralnie planowanej”, a „kapitalizm” „socjalizmowi”. Mówimy zatem nie tylko o prakseologicznych aspektach funkcjonowania zmieniających się systemów *stricte* ekonomicznych, ale także o systemach ideowo-politycznych i o pewnych wartościach normatywnych. Tym bardziej trzeba być świadomym faktu, że kapitalizm teraz stający się kapitalizmem światowym ma różne oblicza. Co więcej, i one będą się zmieniać; już się zmieniają, także pod wpływem krytyki – tej słusznej, bo irracjonalnej też nie brakuje – anty i alterglobalistów. **Kapitalistyczna gospodarka rynkowa to system, który w dotychczasowej fazie historii udowodnił swoją wyższą efektywność w porównaniu do socjalistycznej gospodarki centralnie planowanej, ale pod wieloma względami jest to**

¹¹ Zob. na ten temat interesujące rozważania Tadeusza Kowalika, *Oligarchiczna triada a demokracja i dobrobyt*, w: *Dylematy wyboru modelu rozwoju gospodarczego Polski*, redakcja naukowa Stanisław Lis, Akademia Ekonomiczna w Krakowie, Kraków 2005, s. 109-136. Na temat różnorodnych modeli gospodarki rynkowej zob. Andrzej Wojtyna, *Alternatywne modele kapitalizmu*, tamże, s. 83-108 oraz Aleksander Łukasiewicz, *W kwestii dyskusji o modelach ustrojowych*, tamże, s. 33-40.

system cały czas ułomny i dlatego walka o oblicze tego kapitalizmu, teraz już światowego, będzie trwała.

Globalizacja z ludzką twarzą?

Na ile będzie on w stanie uratować sam siebie i przetrwać, troszcząc się nie tylko o efektywność i ekspansję, ale także o sprawiedliwość i niezbędny społeczny wymiar, o tzw. ludzkie oblicze? Instytucja naukowa, którą kieruję w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego (WSPiZ www.kozminski.edu.pl) nazywa się Centrum Badawcze Transformacji, Integracji i Globalizacji (www.tiger.edu.pl), a po angielsku Transformation, Integration and Globalization Economic Research, czyli w skrócie TIGER. A więc po polsku tygrys. Czy tygrys może mieć „ludzką twarz”? Tygrys nie, ale istnieje głęboki sens poszukiwania „ludzkiej twarzy” posocjalistycznej transformacji ustrojowej, integracji z gospodarką światową i wszechogarniającej nas globalizacji. Trzeba kontynuować – poprzez debaty, a zwłaszcza prowadzenie odpowiedniej polityki – poszukiwanie tych jakże potrzebnych społecznych wątków w procesach rozwojowych, bo to na pewno nie jest żaden koniec historii. Najciekawsza, być może, dopiero się zaczyna. Co prawda, Fukuyama prowokacyjne ogłosił jej koniec, ale się mylił. Tak samo jak mylił się Lenin postrzegając imperializm jako końcową fazę kapitalizmu. Gdyby żył dzisiaj, to jego dzieło nazywałoby się pewnie „Globalizacja jako najwyższe stadium kapitalizmu”. Ale znowu by się pomylił, bo nie jest to jego ostatnie stadium. Przyjdą inne, gdyż **rozwój trwa, a sprzeczności nie brakuje, bo świat się zmienia.**

Tak więc zrodziło się w wyniku historycznego procesu rozwoju coś, co nazywamy globalizacją, co odzwierciedla triumf światowego systemu kapitalistycznego z wszystkimi tego konsekwencjami. Co teraz ten fenomen spowoduje? Czy jest to system sprawiedliwe czy nie? Jak jego funkcjonowanie i ekspansja wpływa na dynamikę produkcji i zmiany podziału owoców wzrostu wydajności pracy? Otóż mechanizmy, które są uruchamiane w wyniku procesów transformacji, integracji i globalizacji przyczyniają się do wyższej niż w alternatywnej sytuacji dynamiki wzrostu. **Produkcja, przeciętnie biorąc, rośnie szybciej niżli miałyby to miejsce bez globalizacji** w naszym tu rozumieniu. My wszyscy zatem – jako ludzkość już, a nie ludność jakiegoś jednego kraju czy regionu – przeciętnie biorąc żyjemy lepiej. Natychmiast jednak wyłania się pytanie, kogo to obejmuje, ilu z nas – gdzie i jak – żyje lepiej: połowa, większość? Jaka większość, jaka mniejszość? I znajdujemy odpowiedź, że w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, tak mocno naznaczonego piętnem globalizacji, rozwarstwienie ekonomiczne ludzkości, czyli mieszkańców tej globalnej gospodarki, wzrasta. A dzieje się tak z wielu powodów.

Na przykład jest w Afryce taki kraj jak Botswana, gdzie w ciągu minionych 40 lat tempo wzrostu wynosiło średnio rocznie około 10%, podczas gdy w sąsiednim Kongo, gdzie w wielkiej biedzie żyje ponad 50 milionów ludzi, w tym samym czasie odnotowano ujemną stopę wzrostu. Innymi słowy, poziom produkcji i konsumpcji jest tam teraz mniejszy niż był w roku 1965 i jeszcze w ostatnich latach brutalnego belgijskiego kolonializmu. Ale czy taka drastyczna sytuacja jest spowodowana globalizacją? Bynajmniej, gdyż wynika ona – podobnie jak i w przypadku sukcesu Botswany – z uwarunkowań regionalnych, lokalnych, narodowych, a nade wszystko z prowadzonej tam przez lata polityki. W Kongo sytuacja tak drastycznie pogorszyła się głównie z powodu skorumpowanych rządów i licznych konfliktów etnicznych oraz lokalnych wojen. Konflikty te – a trwają one, niestety, nadal – niewiele wspólnego mają z globalizacją.

Przykłady takie można by mnożyć. I tu dygresja. Otóż **w ekonomii zawsze trzeba umieć odróżniać przyczyny od skutków, przejawy od mechanizmów, uwarunkowania od implikacji, a w polityce nie należy mylić środków z celami.** Jeśli ktoś tego nie potrafi, to –

gdy uprawia politykę – szkodzi rozwojowi, gdy zaś para się nauką, to się myli. Gdy ktoś tego nie pojmuje, to – tak jak w Polsce znowu, nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni – **próbuje wmówić publiczności, że piętrzące się trudności są konsekwencją współczesnych egipskich, a raczej globalnych plag, podczas gdy są one rezultatem nieudolnej polityki gospodarczej w odniesieniu do przeciwdziałania bezrobociu, podnoszeniu konkurencyjności firm, budowania przyczółków gospodarki opartej o wiedzę, poprawy stanu twardej infrastruktury, konstruowania prorozwojowego budżetu, który zarazem sprzyja zawężaniu marginesu wykluczenia społecznego, czy też w odniesieniu do stabilizacji monetarnej i korzystnego dla ekspansji eksportu kursu walutowego.** To wszystko trzeba i można robić, ale w warunkach globalizacji robi się to inaczej. I dlatego dla dobrej praktyki gospodarczej niezbędna jest poprawna teoria ekonomiczna uwzględniająca globalny wymiar procesów gospodarczych, choć – co oczywiste – biegną one zawsze także w swoim lokalnym kontekście.

Wracając zaś do narastającego w ostatnich dekadach rozwarstwienia dochodów i sytuacji materialnej mieszkańców świata, to wyłania się pytanie, czy globalizacja rzeczywiście prowadzi do tego, że bogaci są coraz bogatsi, a biedni coraz biedniejsi? Otóż tak nie jest; to nie jest prawda. To teza niektórych antyglobalistów, którzy albo nie znają dobrze wszystkich faktów i nie do końca wiedzą, co mówią, ponieważ nie rozumieją wszystkich występujących tu zależności, albo też wiedzą, że to nieprawda i mimo to celowo ją głoszą. A jak jest naprawdę? **Globalizacja działa tak, że mechanizmy alokacyjne transferów kapitału, handlu, liberalizacji i prywatyzacji aktywów w wielu krajach powodują, że dochody grup bogatszych w tych krajach i krajów bogatszych na świecie rosną szybciej niż rosną dochody ludności biedniejszej i krajów biedniejszych.** Poza pewnymi wyjątkami, które z globalizacją nie mają wiele wspólnego, dochody wszakże rosną.

W rzeczywistości bywa tak, że ktoś dysponował dochodem w wysokości stu jednostek, a ktoś inny tylko dziesięciu i teraz – po serii cykli produkcji i obrotu w trybach zglobalizowanej gospodarki – ten pierwszy ma dochód o, dajmy na to, 80 procent wyższy, a więc 180 jednostek, podczas gdy temu drugiemu – obojętnie czy to kontynent, kraj, branża, przedsiębiorstwo, grupa społeczna, rodzina czy jednostka – zwiększył się on tylko o 20 procent. Faktycznie rozwarstwienie zwiększyło się; wzrosło ono z 10:1 na początku do 15:1 obecnie. I stało się to, według naszych założeń, za sprawą globalizacji. Ale w obu przypadkach dochód się zwiększył.

Taka odpowiedź nasuwa od razu następne pytanie, które zawsze trzeba rozpatrywać w konkretnym kontekście. Otóż trzeba zbadać, czy ten większy przyrost dokonuje się kosztem redukcji skali tego mniejszego, co w oczywisty sposób oznaczałoby niesprawiedliwą redystrybucję, czy też może poprawa sytuacji materialnej w tym drugim przypadku możliwa jest dzięki tak dużemu skokowi dochodów w pierwszym, a to na przykład wskutek dźwignięcia w górę sumarycznego dochodu poprzez poprawę efektywności, większą przedsiębiorczość, innowacyjność. W takiej sytuacji wypadałoby cieszyć się, choć może nie tyle z narastającego rozwarstwienia, ale z faktu, że towarzyszy mu wzrost dochodów i poprawa sytuacji wielu ludzi. Niestety, tak niekiedy nie jest. Co gorsza, są nawet całe połacie Ziemi, gdzie taki wzrost wcale nie występuje, aczkolwiek – znowu – nie tylko z powodu globalizacji, a często bez żadnego z nią związku.

W szczególnej sytuacji znajduje się w tym kontekście Afryka, której nie należy pozostawiać z jej biedą i marginalizacją samej sobie. Wciąganie – stopniowe i sukcesywne – Afryki w orbitę światowego obiegu gospodarczego wraz z troską o rozwój tego kontynentu to jedna z ważniejszych spraw we współczesnym świecie, choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Na tym tle propozycje brytyjskiego premiera Tony Blaira i jego sekretarza skarbu Gordona Browna, przedstawione pod hasłem *Commission for Africa*, mają wielkie znaczenie. Tym bardziej, że w roku 2005 to właśnie Wielka Brytania przewodzi grupie najbogatszych

państw świata G-7, a w drugim półroczu 2005 kraj ten sprawuje prezydencję w Unii Europejskiej. Gdy zatem oni mówią „tak dalej być nie może”, to może zaiste pojawi się polityczna szansa na ruszenie sprawy z martwego punktu i zajęcie się pomocą Afryce w przezwyciężaniu jej strukturalnego ubóstwa, którego akurat tam, pośród ponad 800 milionów ludności, jest szczególnie wiele.

Tak dalej być może

Ale choć wielu od dawno powiada, że ponoć „tak dalej być nie może”, aby na świecie miliard ludzi żyło za mniej niż jeden dolar dziennie, aby kilkadziesiąt milionów dzieci chodziło codziennie głodnych spać w samej tylko w Afryce, aby tamże kilka milionów ludzi umierało rokrocznie z głodu, to okazuje się, że tak być może, bo tak właśnie jest. **Powstaje globalna gospodarka, ale wciąż nie ma w niej politycznych mechanizmów, które mogłyby zatroszczyć się o tworzenie niezbędnych mechanizmów autonomicznego rozwoju, a dopóki ich nie starcza – redystrybuować odpowiednie środki z bogatszych rejonów świata, także z Polski, do najbiedniejszych obszarów Ziemi.** I nie ma nic wspólnego z populizmem stwierdzenie, że wystarczy dać na te cele tyle, co kosztuje pół gumy do żucia w Londynie albo cała w Warszawie, aby uratować dziecko od śmierci w Afryce.

Jeśli zatem teraz Wielka Brytania jednostronnie zaproponowała skreślenie długów i zrobiła to wobec krajów najbiedniejszych, to tym tropem powinny podążyć wszyscy inni. W ślad za tym w ciągu najbliższych kilku lat muszą pójść zwiększone nakłady inwestycyjne na infrastrukturę, bez poprawy której w wielu zacofanych regionach świata nie może rozwinąć skrzydeł gospodarka rynkowa. Zwiększyć się muszą także finansowane po części ze źródeł zewnętrznych nakłady na kapitał ludzki, w szczególności na edukację i ochronę zdrowia. Zarazem na taką pomoc trzeba sobie zasłużyć, gdyż argumenty natury humanitarnej może i robią na krótko wrażenie, ale nie dają praktycznych skutków. Dlatego też afrykańscy partnerzy wykonać muszą swoją część zadania, a więc skuteczniej walczyć z panoszącą się korupcją i skończyć z kosztownymi i wycieńczającymi konfliktami etnicznymi i militarnymi – od Darfuru poprzez Liberię do Konga i północnej Ugandy.

Od tego, czy uporamy się z takimi masowymi problemami, jak niespłacalne zadłużenie, nadmierne rozwarstwienie materialne sięgające swymi korzeniami jeszcze do czasów kolonialnego wyzysku, ale wynikające i z postkolonialnego złego rządzenia, olbrzymie obszary wykluczenia społecznego, masowe bezrobocie, bieda i głód zależeć będzie, czy świat dążył będzie drogą ewolucji do wspomnianego „ludzkiego oblicza”, czy też może już zmierza on do rewolucji, która wybuchnie pod ciśnieniem nadmiernego społecznego stresu. Nie widzę możliwości prostej, ekstrapolacyjnej kontynuacji w skali światowej przez następne pokolenie czy dwa procesów wzrostu i podziału owoców tego wzrostu na dotychczasową modłę. To nie tylko nie może się udać; to nie powinno się udać, gdyż taki model rozwoju jest społecznie niesprawiedliwy, co koniec końców obraca się także przeciwko efektywności i wzrostowi gospodarczemu. To z kolei musi doprowadzić do eksplozji; jest to tylko kwestią czasu. Na czym taka eksplozja może polegać, czy na totalnie już niekontrolowanych falach migracji, z którymi sobie nie poradzą ani ci z tych biednych krajów, ani ci z tych bogatych, czy do masowych rozruchów społecznych na ulicach świata, które będą się internacjonalizowały, czy też do narastania ekonomicznie prowokowanego terroryzmu, to się dopiero okaże. Najprawdopodobniej do wszystkiego po trochu.

Ale na te zagrożenia i wyzwania jest przecież pozytywna odpowiedź. Otóż **w skali światowej niezbędna jest lepsza koordynacja polityki, bo powstała gospodarka światowa, natomiast nie powstał „światowy rząd”.** Czy świat wobec tego ma zmierzać w kierunku światowego rządu? Bynajmniej. Takie oczekiwania to utopia i nie należy żądać ani domagać się, aby powołać ministra gospodarki świata, ministra finansów świata, ministra

opieki społecznej świata czy też bank centralny świata. Świat na to jest zbyt zróżnicowany i skłócony. **Światem rządzić się nie da, ale można go lepiej zrozumieć i postarać się to i owo zmienić na lepsze.** Potrzebna jest przeto dużo lepsza niż do tej pory koordynacja polityk w skali globalnej. Czy mamy zatem odpowiednie ku temu organizacje, instytucje i instrumenty?

Otóż jak trzeba, to potrafimy w jakiś sposób skoordynować wspólny wysiłek z tak różnymi zagrożeniami, plagami i patologiami, jak wojna ze światowym terroryzmem, pranie brudnych pieniędzy, migracje, efekt cieplarniany, rozprzestrzenianie się kryzysów finansowych, chociaż okazuje się, że działające tu mechanizmy cały czas są politycznie kulawe. Na tym polu zatem – stworzenia odpowiedniego nowego ładu instytucjonalnego na potrzeby ery globalizacji – stoją przed nami największe wyzwania. Sprostanie nim będzie wielkim sukcesem XXI wieku. Nie poradzenie sobie z tym wyzwaniem – wielką światową klęską.

Pamiętać wszak warto, że choć mówimy o ideach globalizacji, to nade wszystko mówimy o interesach. Dotyczy to zresztą nie tylko światowego, ale także i naszego rodzimego podwórka. Tu też słychać, że „tak dalej być nie może”, ale wiadomo, iż tak – mniej więcej – właśnie będzie. I to, co ciekawe, w warunkach funkcjonowania mechanizmów demokracji parlamentarnej.¹² **Ale świat nie działa w oparciu o demokrację. Na świecie triumfuje kapitalistyczny, coraz bardziej zliberalizowany rynek, ale bynajmniej nie triumfuje w nim demokracja.** I jeśli nawet coraz więcej części świata funkcjonuje w ramach coraz większych demokracji, to świat jako całość demokratyczny nie jest. Z tego powodu nie trzeba byłoby się martwić, ale tylko wówczas gdyby istniejąca obecnie niedemokratyczna instytucjonalizacja światowej gospodarki stwarzała szanse na rozwiązywanie wspomnianych trudnych problemów, które nas nękają. Tak jednak nie jest.

W świecie się nie głośnie, w świecie robi się interesy. Albo robi się wojny po to, aby móc robić interesy, choć mówi się, że „robi się demokrację”. Prawdziwa, wielka polityka również w ujęciu globalnym nie powinna polegać na tym, kto kogo, kto z kim i kto za ile, tylko na rozwiązywania wielkich problemów społecznych na gruncie ekonomicznym. Musimy zatem sukcesywnie przez kolejne lata, dekady i pokolenia tworzyć mechanizmy i instrumenty, posiadać zdolności i uczyć się umiejętności rozwiązywania tych problemów na skalę już nie międzynarodową czy nawet regionalnych ugrupowań integracyjnych, ale na skalę ogólnoswiatową. W rzeczywistości w XXI wieku stoimy przeto w obliczu wielkich wyzwań, zupełnie innych niż kiedyś, na które jeszcze nakłada się ta wielka rewolucja technologiczna związana z Internetem, telekomunikacją, genetyką, biotechnologią, co stawia ten świat w zupełnie innej sytuacji niż wcześniej.

Dlatego też globalizacja będzie przedmiotem dyskusji i sporów przez długi okres, a dokładniej zawsze. Bo chyba zawsze już będzie istniała, a przynajmniej będzie ona z nami tak długo, jak długo będzie istniał gospodarujący świat. Walka polityczna i intelektualne zmagania powinny przeto toczyć się o to, aby jak najlepiej rozpoznać i zrozumieć działanie mechanizmów ekonomicznych i politycznych rządzących tym całym interesem, który nazywa się „nasz świat”, a potem poprawnie zdefiniować normy wartościowe i poprzez dialog znajdować sposób realizacji zakładanych celów rozwoju. To wszystko jest bardzo trudno, ale to wszystko zarazem nie jest niemożliwe.

¹² Zob. na ten temat wywiad *Powrót maratończyka*, *Przegląd*, Nr 22 (258), 5 czerwca 2005, s. 17-21.